

Leszek Soliński

Karuzela z Rozaliami

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (49/50), 269-275

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Leszek Soliński

Karuzela z Rozaliami

Ale
Bogu się także w wiekuiestej chwale
Musi coś marzyć...

(Juliusz Słowacki: *Wdowa z Balladyny*)

Był to rok 1952 – ołowiany okres socrealizmu. Skończyłem młynkować pszenicę z siostrą, która nieomal w ostatniej chwili wplątała sobie fartuszek w młynek elektryczny. Było to bardzo niebezpieczne, bo była przy nadziei drugiego potomka. Właśnie wtedy przyjechał nie zapowiedziany, ale oczekiwany Miron. Pierwsze dni sierpnia tego roku były bardzo piękne – mimo to pamięć września 1939 roku tkwiła w nas i rzucała cień. Ja byłem bardzo potrzebny do gospodarki, toteż w domu zaczęto szemrać, że Miron niepotrzebnie przyjechał, że będzie mnie odciągał od pracy, że nawet pidżamy nie przywiózł ze sobą. Bynajmniej nie mówiła tego moja matka. Po śniadaniu Miron oglądał kwitnące za stodołą słoneczniki, a później grządkę z astrami koło wiatraka, siostra oczywiście zaraz dała mu do bawienia rocznego Jędrusia. Nie wiem, czy te słoneczniki były za piękne, czy bukiet z astrów przy obiedzie – dość, że jedna osoba w domu chodziła neurotyczno-dialektycznie, gdera-

jąca. Były też plany jak najbardziej wykorzystać moje wakacje, a obrzydzić Mironowi pobyt. Dość tutaj będzie powiedzieć, że w najbardziej potrzebnej chwili przypomniałem sobie, że mam jeszcze brata Wacława i siostrę Marynę mieszkającą w Kobylanach i zamężną za Władysławem Rajcą, i że bardzo się nawzajem kochamy.

Miron przywiózł wtedy z Warszawy różne ciekawe wiadomości o stanowisku i wystąpieniach Zofii Nałkowskiej i Marii Dąbrowskiej. Przywiózł też ze sobą książkę Rogera Garaudy'ego pt. *Kościół, komunizm i chrześcijaństwo*. Czytałem ją jednym tchem w stodole, leżąc na snopkach jęczmienia. Zaskoczyło mnie tam zdanie: „Pierwszym wrogiem wobec państwa aktem episkopatu było zniesienie obowiązku odmawiania w kościołach modlitwy za pomyślność głowy państwa” (s. 230), albo wypowiedź ks. Szczepana Misiaka: „Dużo się w prasie pisze o likwidacji band i bandytów, którzy grasują w górach i lasach, lecz to nie są bandyci”. Zaskoczony byłem i wprost zaszokowany znalezionym tam na s. 235 nazwiskiem znajomego księdza Stanisława Zuba, który podczas okupacji prowadził daleko idącą pomoc zagrożonym śmiertelnie ludziom, zwłaszcza nieodżałowanym naszym braciom Żydom. Opłakały go żarnowczanki. Biedny Garaudy, podobno się nawrócił, i to na katolicyzm.

Wziąwszy do kieszeni trochę placków, popatrzyłem znacząco na Mirona i wyszliśmy. Najgorzej na tym interesie wychodziła moja matka, bo ubyłoby moich rąk do pracy – stąd u mnie pewna gorzkość i żal przy wyjściu. Miron ani się dorozumiewał podszevky tego wszystkiego. Zwykle nasze spacerunki, nasze wyjścia zaczynały się od milczenia. Chodziło o to, aby poddać się rytmowi, obserwacji i popaść w trans. Wtedy jednak, żeby zagłuszyć wiele rzeczy i nie udzielić podświadomości Mironowi, zacząłem od rozmowy, opowiadania, objaśniania.

Idziemy doliną rzeki Jasiołki, która kończy się u granic Słowacji doliną śmierci.

– Tędy tu niby szły szlaki kupieckie, tędy sprowadzano węgierskie wino. Drogą tą także wchodził wrogowie ludzi i Rzeczypospolitej. W czasie ostatniej wojny wraz z wojskami niemieckimi wkroczyły jeden czy dwa dywizjony armii słowackiej.

W najpiękniejszej porze roku, między początkiem maja a piętnastym czerwca wkroczyły tędy wojska austriackie, dokonując pierwszego zaboru.

– Jak to? – zapytał Miron – Bez walki, bez obrony?

– Gorzej jeszcze – odpowiedziałem – Czwartego maja 1772 roku stał za Duklą korpus konfederacki dowodzony przez marszałka sanockiego pana Radzywińskiego i innych, jak Zyberk, Szymański, Stawurzeński i Falkowski. Do owych wielmożnych panów dowódców przybył znaną granicy węgierskiej oficer austriacki i w imieniu generała Esterházego wezwał ich do wycofania się od granic węgierskich w głąb kraju. „Stoimy we własnym kraju”, odpowiedzieli marszałkowie i regimentarze, „i nie robimy żadnych hostitates sąsiedniemu państwu”. Natychmiast też wkroczyła armia austriacka, a konfederaci cofnęli się w stronę Dukli. Oficer austriacki, pan Fabri, major huzarów z piechotą, armatami i jazdą, zażądał rozmowy z marszałkami konfederacji, żaląc się i tłumacząc, że chce postępować z nimi po przyjacielsku. Nie doszło nawet do potyczki, a marszałkowie konfederacji wycofali się za Duklę – tam, gdzie Panna wpada do Jasiołki. Sanockie było już zajęte. Major Fabri wkroczył do Dukli przy odgłosie kotłów i muzyki regimentowej i nie usprawiedliwiał swoich kroków. Zażądał, aby pan Mniszech delegował kogoś do słuchania ordynansów generała Esterházego. Kahałowi i mieszczanom odczytano po niemiecku i po łacinie zarządzenie zakazujące pomocy konfederatom. Nazajutrz byli już w Żarnowcu i Jedliczu. Przez inne przełęczę też wkraczały armie austriackie, i zajmowali kraj tak, jak im było wygodnie, i ile im się podobało. Odbyło się to bez kropli krwi, nawet kamieniami ich nie pobili. Trudności były tylko administracyjne: reformaci bieccy i okoliczna szlachta nie mogli sobie radzić z przetłumaczeniem z niemieckiego na polski. Lustracja Podkarpacia wykazała, że nie było w tym czasie w Bieckiem i w Sanockiem ani jednej szkoły publicznej. Skończyło się tym, że głupia jak but szlachta galicyjska słała wiernopoddańcze adresy do cesarza zaborcy, prosząc go o zachowanie poddaństwa, nietolerancji wobec innych wyznań niż katolickie i żeby przywóz win węgierskich był bez opłat. Akt zaprzysiężenia szlachty został uczczony wybiciem medalu, a zarządcy Galicji, hrabiemu Bergenowi, szlachta galicyjska złożyła hojny upominek w złocie – 6000 dukatów. Upominek ten zrobił w Wiedniu bardzo dobre wrażenie. Z tego cesarz mógł się dobrze zorientować, jakie ma czerpać podatki.

Mijaliśmy właśnie Zręcin, resztki zachowanego parku, miejsce po zniszczonym przepięknym modrzewiowym dworze Klobasów, milionerów galicyjskich. W studni po starym browarze jeden chłop ze

Zręcina przechowywał szczęśliwie Żydówkę, a później się z nią ożenił. Piękny pamiątkowy dwór po Ignacym Łukasiewiczu też został okradziony i zniszczony w 1945 roku. Nawet nie wiem, czy zostały fundamenty.

Zręcka góra – to właściwie nie góra, ale taki wysoki pagór cały pokryty uprawnymi polami, który w kształcie przypomina półkulistą pierś kobiecą. Miron chciał wejść na tę górę, więc weszliśmy, a wtedy Miron mi mówi:

– Co widzisz wprost?

– Ohydnie – odpowiadam – Niby to wojna dawno się skończyła, a na drogach prowadzących do lasu pełno mundurów, psów, motoryzacji, poszukiwania w karpackich wzgórzach. Patrzę w lewo: ohydnie. Niedaleko ciągnie się powojenna granica. Cerkwie zrujnowane, nie ma ruskiego popa w niebieskiej kapie z długimi włosami. W prawo: też ohydnie. Nie ma Bojkowszczyzny, Jasło zburzone.

Miron powiedział:

– Warszawa jest, ale jaka?

Poszliśmy dalej wzdłuż Jasiołki. Miron po raz pierwszy ujrzał zimorodka. Popatrzył się na mnie, czy widzę. Zapytał:

– Co to?

Odpowiedziałem Słowackim:

– Halcjon, najniesłuszniej zimorodkiem zwany.

Było słonecznie i pięknie, ale między Wietrzem a Niżną Łąką spadł bardzo ciepły deszcz i przymgliło się, zaczęły dymić senne góry i nad Jasiołkę weszliśmy na nie skoszone łąki, na których kwitły... – a może to były ususzone takie rdzawo-brązowe owoce.

– Co to? – zapytał mnie Miron, i wymyśliłem natychmiast nazwę:

– Sniączka.

Po drugiej stronie Jasiołki, we Wrocance, przed kościołem rozkładali się kramarze i montowano karuzelę. Oczywiście zdjęliśmy buty i przeszliśmy przez rzekę. Było tak, jak u Lechonia: „Lysnęła krasna nagość”. We Wrocance na trzeci dzień miał być odpust św. Rozalii, jak nam powiedzieli kramarze.

Odbiliśmy się od Jasiołki w prawo i przez Wietrzno doszliśmy do mojej siostry. Maryna miała wielkie zmartwienie, już zażegnane wtedy: rozchorował się jej syn Adam. W szpitalu dawano mu, o ile pamiętam, streptomycynę, którą chłopiec bardzo źle znosił.

– Trzęsło nim i targało – mówiła siostra z płaczem.

Leczyła go też medycyną ludową: gotowanym mięsem i rosółem z młodych psów, który właśnie wtedy gotował się na kuchni. Pomogło: Adam wyzdrowiał, a dziś ma już troskę o swoje dzieci.

W Kobylanach, jak i po drodze, było dużo świątków przydrożnych. Wśród pól także, i w pokrzywach i w chwastach. Miron wprost zaprzyjaźnił się ze św. Agatą stojącą na zboczu kobyłańskim.

Przenocowawszy u Maryny, postanowiliśmy iść jeszcze dalej – ciągnęły nas same nazwy miejscowości: Nienaszów, Sulistrowa, Toki, Żmigród Stary i Nowy, Osiek. W kraj, jak mi się wtedy wydawało, „Prawem i Lewem”, w dziedzinę diabła stadnickiego czy łańcuckiego. Każda miejscowość i napotkana osoba dawały duże wartości poznawcze, kulturalne i obyczajowe. Przechodziliśmy przez niewielki, ale ciemny las i spotkaliśmy tam kobietę około pięćdziesięcioletnią, zbierającą chyba gałęzie, bo miała dość duży tobołek. Powiedziała do nas:

– Panowie, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Mirona zatkało, ja odpowiedziałem, a Mironowi powiedziałem:

– A co miała powiedzieć kobieta, spotkawszy nas w lesie? A były też takie przypadki, że ksiądz po spowiedzi jako pokutę kazał gadatliwym kobietom pozdrowić ludzi w ten właśnie sposób.

W okolicy było bardzo dużo świątków. Próbowałem wskazać Mironowi świątki mające cechy tzw. szkoły krośnieńskiej. Nie bardzo mi się to udawało, bo brakowało mi własnego – chciałbym powiedzieć: żarnowieckiego języka, a do języka wyuczonego Miron miał podejrzliwy stosunek – nie ufał nawet wiadomościom podanym w nim. Przyznaję jednak, że wszelkie komentarze, mądre czy głupie, nie psuły mu wielkich przeżyć estetycznych. Powiedział wtedy jedno mądre zdanie, znaczące dla mnie:

– Prymitywiści potrafią oczyścić pierwowzorów z niepotrzebnych naleciałości.

Znałem już zdanie Jacques’a Maritaina o tego rodzaju artystach: „Niezręczność w prymitywach jest świętą słabością, przez którą ujawnia się subtelna intelektualność sztuki”.

Kościół w Osieku to chyba ten sam, który malował Julian Fałat, ale wtedy Miron powiedział, że kościoły ludowe są bardzo indywidualne, a jednak mają także swoje podobieństwo: na popielate gonty pada zawsze fioletowy cień lipy.

Koło kościoła pały krowę – księdza siostra i księdza bratowej siostra – tak się nam przedstawiły. Miron to od razu zapisał na papierze od

papierosów. Chodziły zamantulone, bo ich bolały zęby. Były ni to z gotyckich tryptyków, ni to z ludowych malowanek. Nagle księdza bratowej siostra wybuchnęła łkaniem, skarżyła się:

– Biła, biła.

Na to księdza siostra, tłumacząc się:

– Proszę pana, czy ja ją biłam? Kładłam na nią ten kij i zdejmowałam. Czyli biła na naszych oczach biedną siostrunię.

Proboszcz przyjechał. Był wybitnie niezadowolony, że na trawniku koło kościoła są krowie placki. Ta bita przeproszała, nas poprosiła, żeby jej wyciągnąć wody, i wiadrem wody zalewała krowie kupy – rozlewały się bez znaku. Zaprosiła nas na razie na ganek plebanii, gdzie suszyło się zioło, które ona nazywała „matka pszczela”. Jeśli się je roztarło na rękach i na twarzy, to można było iść do pasieki podbierać miód – pszczoły nie cięły, bo ten zapach miał pachnąć tak samo jak królowa pszczoła matka. Miron bez umiaru natarł się tym, wachał, aż mu się zrobiło mdło i niedobrze. Do końca życia wspominał tę „matkę pszczelą”.

Pokazały nam te półksiężę niewiasty kościół. Miron wyłudził od nich małą rzeźbę przedstawiającą chyba św. Dominika, zżartą przez korniki – bez rąk i bez nóg, z dużą bulwiastą głową, taką co to Malraux by szalał. Nie rozstawał się też z nią Miron całe życie, nazywał ją „rybką Dominika”, służyła mu i bardzo często Miron całował ją po żydowsku, tak jak Żydzi przykazania na drzwiach.

Helena i Janina, bo tak było parafiankom na imię, dały nam jeść dobrej zawieszistej zupy fasolowej z kawałeczkami mięsa i przepysznych gołąbków, które zawinęły nam w papier na drogę. Ale Mironowi trudno było z nimi się rozstać, bo Helki wybierały się nazajutrz na odpust św. Rozalii do Wrocanki. Okazało się, że swoimi siłami wystawiły przedstawienie pt. *Żywot św. Genowefy* i z tym przedstawieniem jeździły po okolicznych wioskach. Uraczyły nas teatralnym dowcipem, a mianowicie: w ciemnej sionce plebanii jedna Hela zrobiła sobie olbrzymie zęby z kartofli, odziała się białą płachtą, a oświetliła palącym się na małej miseczce denaturatem. Efekt Miron zapamiętał na całe życie – mając już własny teatr, jak lubiał mówić, często powtarzał: „A jakby tak taką Helkę, taką Honorę”. Dość, że wtedy na plebanii nie mogli się rozstać. Robiłem wtedy Mironowi wygryzki:

– A tyś to taki lepki, do wszystkiego Igniesz, masz taką skłonność do szukania przyjemności we wszystkim, choć w niczym w szczególności.

– Pisarz to człowiek, który nie chce poprzestać na samotności – odpowiedział Miron, dodając: – To Mauriac, obłudny Mauriac.

Mnie wtedy nurtowały zdania André Fougerona, malarza, który wystawiał wówczas w Warszawie: „Pokazać wszystko, absolutnie wszystko: lud, kobiety, rodziny..., żal wobec nie ukaranej zbrodni”.

Wracaliśmy do siostry Maryny. Zmrok, pełnia księżyca, ale jaka pełnia! Koło księżycowe tworzyło styczną do zbocza góry, księżyc się przed nami w stronę dukielskiej przełęczy wprost staczał. Nie rozmawialiśmy ze sobą, obezwładnieni tym, co się działo. W grottgerowskim dworku ze stojących cokołów zeskoczył Amor na gazon i bezszelestnie tuląc muśliny sfrunęła Psyche – cokoły stały puste. Już przedtem Wyspiański w *Akropolis* kazał poczuć wolę bożą truchłom wawelskim, a świątki też nie chciały być gorsze – najadły się śniączki, nabrały rumieńców i wio, z kapliczek na odpust.